

# Taury

Tekst i zdjęcia: Marta i Łukasz Jędras

**I stało się – nie dostaliśmy urlopów w planowanym terminie. Żegnaj Monte Rosso! Może kiedyś... Szybka decyzja, zmiana planów. Może Taury?! Czemu nie... Zatem postanowione.**



▼ Łukasz - w drodze do Bonn - Matreier - Hutte (trasą: Venediger Höhenweg)



**T**ym razem, inaczej niż w poprzednich latach, musimy jechać samochodem. „Autostop” odpada – mamy tylko tydzień! Nasz naładowany do granic możliwości bagażnik, zostaje dokładnie zrewidowany na granicy polsko-słowackiej. Teraz prosto na Bratysławę... Rozpędzam się, aby osiągnąć stałą prędkość 140 km/h. Boję się, że przy szybszej jeździe nasz pocziwy Fiat UNO, mimo ogromnego obciążenia 4 osób i bagaży, odleci. Jestem już trochę zmęczona... Na horyzoncie majaczy jakiś czerwony punkt. „Widzicie to?” – pytam. „E, to nic”. Intuicyjnie wyczuwam,



▼ Piękne widoki z Venediger Hohenweg na dorzecze Lobbenbach

że powinien zacząć hamować. Czerwony punkt zaczyna wirować z zawrotną prędkością. Zatrzymuje się tuż przed nogami „pogranicznika”, który jest jakby lekko podenerwowany. Ciekawe czemu? Bezlitośnie każe nam po raz kolejny utworzyć bagażnik, po raz kolejny wszystko się z niego wysypuje. Po dokładnej rewizji (zachodzą podejrzenia, że planowaliśmy uciec) upychamy nogą bagaże, a luki wypełniamy zupkami chińskimi. Dalsza droga mija już bez przygód, z krótką drzemką nad ranem. W końcu dojechaliśmy!

Matrei In Osttirol powitało nas pięk-

▲ Panorama z Venediger Hohenweg, w dali widoczna Granatspitzgruppe



▲ Iga, Łukasz i widoki spod schroniska Badener Hutte

ną pogodą. Odczuwając niesamowitą potrzebę odespania nocy, bez trudu znajdujemy pole namiotowe (Camping Edengarten) – niedrogo, komfortowo i przyjaźnie. Plan jest taki – auto zostaje, a my nazajutrz ruszamy w góry.

Czytamy jeszcze w przewodniku *Alpy* (wyd. Sklep Podróżnika) „Wyjątkowo piękna, urozmaicona i atrakcyjna trasa. Wędrując swego rodzaju „galerią widokową”, podziwiać możemy przez cały czas znakomite panoramy. Praktycznie nie występują tak typowe dla Alp mozolne, długie odcinki o jednakowym charakterze...” – brzmi zachęcająco. Grupa Venediger jest właśnie naszym celem.

### **Poniedziałek (30.08.2004)**

Pobudka – 7.00 rano. Pierwszy dzień i pierwsza niespodzianka! Jeszcze nie wyszliśmy, a już musimy zmodyfikować planowaną trasę. Wyjście z zajazdu Matreier Taurenhaus (1512 m) – jak podaje przewodnik – okazuje się niemożliwe z błahego powodu. Nie mamy się tam czym dostać! Autobusu brak, a autostop w Austrii nie istnieje! I to nie ze

względu na nieuprzejmość ludzi – tu po prostu jest to zjawisko nieznanne. Ślęcząc nad mapą, wpadamy na jedyny sensowny plan wyjścia z tego impasu – pójdziemy „od drugiej strony”. Na szlak wyruszamy z miejscowości Gruben, kierując się w stronę Untere Katalalm (1722 m). Okazuje się, że szlak jest bardzo ładny (przynajmniej pierwszy jego odcinek) – wiedzie ścieżką przy rzece lodowcowej, co jakiś czas wodospady. Bardzo widowczo! Dalej droga staje się mniej przyjemna – kręta, ostro pod górę. Na dodatek siada pogoda. Zaczynają nas dręczyć koszmarnie nadchodzącej nocy (czy rozsądnie jest rozbijać się na drodze, na której widać ślady po oponach jeepa, skoro reszta to strome zbocza?). Nagle naszym oczom ukazuje się malutka osada pasterska – zatem „jesteśmy w domu”. Zostajemy bardzo przyjaźnie przyjęci. Mamy do wyboru spanie na sianie albo w namiotach. Wybieramy opcję drugą, jednak chcąc rozbić się na upatrzonym przez nas, kusząco płaskim kawałku pola, dostajemy ostrzeżenie: „Tu nie, tu pasą się krowy”. Chodząc po Alpach,



◀ Lodowiec Frosnitzkees i piękne ściany Weibspitze o poranku

▼ Początek naszej wędrówki z Gruben



przekonaliśmy się niejednokrotnie, że krowy potrafią być nieco nachalne, ale przenosząc się na ogrodzony, już mniej komfortowy teren przed leśniczówką, mamy wrażenie, że to przesadna troskliwość o nas (rankiem okazuje się, że to była słuszna decyzja, gdy przyjazne krowy zaczynają pochłaniać wszystko co znajduje się w ich zasięgu). Tymczasem szykując się do snu w naszych namiotach, mamy nieodzowne wrażenie, że wprosililiśmy się komuś do ogrodu, mimo zapewnień pasterzy, że pan leśniczy jest bardzo gościnnie i na pewno nie będzie miał nic przeciwko, gdy wracając

z polowania, ujrzy przed swoją „wypasioną” 300-letnią chatą „pole namiotowe”. Mieli rację – leśniczy, jak się okazało jednocześnie właściciel sporej części ziemi w tej okolicy, koniecznie chciał nas przenocować. My jednak z lenistwa (nie po to człowiek rozbijał namioty, żeby je za chwilę składać) grzecznie odmówiliśmy, ale skorzystaliśmy z zaproszenia na „wieczorek zapoznawczy”. Pan leśniczy, jego pies i my, jakiś pierońsko mocny trunek i jedna Iga znająca nieco j. niemiecki... Po niedługim czasie wszyscy złapali „głupawę”, a leśniczy co jakiś czas, opierając się na łokciu, z zadumą wzdychał: „Ja, ja...”.

### **Wtorek (31.08.2004)**

Rano, zgodnie z umową, udaliśmy się do chaty suszyć rzeczy. Pogoda siadła na dobre, a całą okolicę pokryła gęsta mgła. Prognozy też nie były optymistyczne. Ku naszemu zdumieniu,

leśniczy zaproponował, że możemy tu zostać tak długo jak chcemy i choć musi wracać do miasta zostawi nam klucze. Cóż... jego gościnność, a przede wszystkim zaufanie do nas, były porażające (podczas tego wyjazdu spotkaliśmy samych gościnnych i otwartych ludzi). Jednak my przyjechaliśmy tu chodzić po górach! W strugach deszczu ruszamy w stronę Badener Hutte (2608 m) przez Mitteldorfer Alm. Droga dłuży się okropnie, na dodatek zaczął padać śnieg, ale na 19.30 docieramy do schroniska. Kolejny „szok”! Zupełnie odwrotnie niż w większej części Alp, biwakowanie jest dozwolone zawsze, wszędzie i bez żadnych ograniczeń, co w naszym przypadku oznacza redukcję stresu z powodu biwakowania na dziko w miejscach niedozwolonych, brak konieczności szukania jak najmniej widocznych, a niekoniecznie wygodnych „dziupli” i co najważniejsze możliwość rozbijania się przed zmierzchem i spokojne związanie rano po wschodzie słońca. Czy można chcieć czegoś więcej? Dodatkowe atrakcje to powszechny dostęp do wody w schronisku i możliwość wpakowania się ze swoją wałówką do przytulnej jadalni. Wieczorem, gdy wychodzimy do namiotów, wywołujemy ogólne poruszenie, ludzie z troską informują nas o zapowiadanych opadach śniegu, co po niektórych robią nam nawet zdjęcia (może myślą, że widzą nas po raz ostatni...).

## Środa (1.09.2004)

Wstajemy rano i znów „dupowa”. Od trzech dni jesteśmy w Alpach, a może ze dwa razy widzieliśmy góry! Jest ciężko, ale nikt nie mówił, że będzie lekko. Nie pozostaje nam nic innego, jak obrać za motto wyjazdu maksymę: „Im gorsza pogoda, tym większa przygoda”. Ruszamy na przełęcz Lobben Torl (2770 m), a stamtąd na szczyt Innerer Knorrkogel (2809 m). Zaparliśmy się jak osły i siedzimy na szczycie około 1,5 godziny, czekając aż naszym oczom ukarze się „kontrast, jaki stanowią skalne urwiska szczytu Kristallwand i dziki lodospad Schlatenkees, który z tej strony wygląda szczególnie imponująco” (cytat z przewodnika). Nagle staje się cud! Dosłownie na pięć sekund, rozchodzi się nie opuszczając nas od rana mgła – odsłania się lodowiec, a każdy z nas w popłochu „trzaska fotki”, które – jak się później okazuje – w większości są prześwietlone lub poruszone, no bo jak można zrobić dobre zdjęcie, gdy samo wyjęcie aparatu z pokrowca zajmuje około trzy sekundy? Wieczorem tipimy nasze smutki w sakramencko drogim piwie, oczywiście w czwórkę z jednej butelki.



## Czwartek (2.09.2004)

Budzi nas krzyk Igi: „Jest pogoda!” W końcu możemy zobaczyć, gdzie jesteśmy, a widok jest porażający! Ogrom przestrzeni wokół po wyjściu z „klaustrofobicznej mgły” robi wielkie wrażenie. Trzaskamy setki fotek i o 9.00 ruszamy trasą Venediger Höhenweg przez Galtenscharte (2871 m) do Bonn-Matrier-Hutte (2745 m). Trasa jest przepiękna

▲ Kapliczka przy schronisku Bonn-Matrier Hutte

– niesamowicie zróżnicowana! Najpierw trawers z widokami na doliny, potem szlak wiedzie szerokim, wyschniętym korytem polodowcowej rzeki, a na koniec strome podejście z ubezpieczeniami na szczyt. Na górze spędzamy sporo czasu, upajając się widokami, które w końcu odsoniły przed nami góry, a wieczorem schodzimy do schroniska i jak co wieczór robimy się, gdzie popadnie.

### **Piątek (3.09.2004)**

Poranek pogodny. Wyruszamy do Eisseehutte (2521 m), gdzie spotkamy Polkę, która wita nas, mówiąc: „A to wy jesteście tymi Polakami?” Nieco zaskoczeni pytamy: „Jakimi Polakami?”. Ona: „Już o was głośno. To rzadkie zjawisko widzieć takie wielkie plecaki, zwłaszcza u dziewczyn i do tego spanie w namiocie, u nas to zupełnie niepopularne!” Z rozmowy dowiadujemy się, że tutaj chodzi się raczej na lekko i śpi w schroniskach, bo noclegi są śmiesznie tanie. My jednak zachodzimy w głowę, jak to możliwe, że w schronisku do którego właśnie dotarliśmy, już przed nami o nas wiedzieli. Jesteśmy bardzo rozbaawieni tą „popularnością”, choć potem mamy lekki kryzys w zespole – gdzie dalej? W końcu schodzimy do miejscowości Pragraten i łapiemy stopa do Matrei (tzn. siedzimy na poboczu i nieśmiało machamy ręką). Niespodziewanie jakieś auto zjeżdża na pobocze, wysiada sympatyczny człowiek: „Macie szczęście, że tędy przejeżdżałem, tu nikt nie bierze na stopa, ja nie jestem stąd – mieszkam w Niemczech”. I już mogłoby się wydawać, że nic ciekawego nas tego dnia nie spotka, kiedy w totalnej konspiracji knujemy plan, aby przespacerować jeszcze tę jedną noc „na dziko”. Ale nieopatrznie poinformowaliśmy już wcześniej kierowcę, że chcemy się dostać na pole namiotowe, a był na tyle gorliwy, że postanowił nas odwieźć na samo miejsce. No, ale głupio byłoby wysiąść z auta, ukłonić się właścicielowi, zdezerterować w las, a rano z uśmiechem zameldować się po odbiór auta. W ostatniej chwili odwołujemy pana od pomysłu podwózki na kemp i wysiadamy 50 metrów wcześniej, co wywołuje u niego lekkie zdumienie. Tłumaczymy mu, że mamy ochotę się jeszcze przejść – to nic, że po tygodniu w górach wyglądamy na totalnie „ścioranych”. Najbardziej przeciwny temu „choremu” pomysłowi jest Łukasz, który ma nieodpartą potrzebę, aby w końcu wziąć prysznic – i słusznie! Pozostała trójka jest skłonna poczekać z prysznicem do rana. Zanoszą się na burzę, a my oddaliśmy się w poszukiwaniu miejsca

▼ Piękne szczyty, ogromne doliny i wszechdobyłskie owce



na nocleg. Nie chcemy być nachalni – nadal wychodzi z nas zakorzeniony przez tatrzańskie biwaki na dziko strach przed „filancami”. Powoli zapada zmierzch. Aga i Łukasz zostają oddelegowani do zbadania terenu. W oddali widać kuszące miejsce pod lasem. Nagle ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, kroczący śmiało przed siebie Łukasz dosłownie „zapada się pod ziemię” – znika z jej powierzchni. Z osłupienia wyrwa mnie, odbijające się echem po całej dolinie: „Kurwa mać!” Jest źle, wiem, że Łukasz, który został siłą zmuszony do biwaku na dziko, nie przetrzyma tej próby nerwów. Nagle pojawia się znów na powierzchni – najpierw czołga się, potem kłęka, w końcu udaje mu się stanąć na nogi – idzie wprost na nas! Stoimy z Iga, jak wryte i jesteśmy pewne, że „zeklnie nas, zbeszta i sponiewiera”. Gdy jednak ukazuje się naszym oczom, po uda całkowicie oblepiony jakimś cuchnącym szlamem, wszyscy wybuchamy dzikim śmiechem.

Właśnie ten incydent kończy nasz wyjazd, bo bez protestów poddajemy się woli Łukasza, który stanowczo oznajmia, że na żadne lodowce w mokrych, cuchnących pionierkach nie pójdzie i zarządza kategorię odwrot. My nie śmiemy się sprzeciwić, co zresztą w najmniejszym stopniu nie psuje nam humorów. Wyjeżdżamy zatem z gór o jeden dzień wcześniej. Pogoda znów siada, więc żal nie jest aż tak duży. W drodze powrotnej widzimy w niesamowitym upale i skwarze Strasburg i Wiedeń, ale to już inna historia.

Łukasz o poranku pod Badener Hutte (widok na stronę lodowca Frosnitzkees) ▶

